

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 sierpień 2016, nr 3



Gmina w obiektywie

Takie widoki są jeszcze codziennością charakterystyczną dla gminy.



Róbmy wszystko, by były jak najdłużej. By nikt z nas nie musiał za nimi tęsknić i pokazując dzieciom fotografię mówić, zobaczcie jak pięknie tu dawniej było.





14



44



20



40



22

Spis treści

- 6 Od Redakcji**
Kiedy w Lesznówoli na pola wjeżdżają kombajny, robi się jakoś smutno...
- 7 Życie moje**
Moje dziewięćdziesięcioletnie życie płynęło w tak różnych miejscach i w tylu miejscach...
- 12 Powiew młodości**
Ponad 300 młodych pielgrzymów przyjechało do naszej gminy...
- 14 Dziecko całkiem poważne**
Siedział przed nami i dzielił się swoimi obserwacjami Michał Wiśniewski, jakiego nie znaliśmy...
- 20 Wszystkie kolory lata**
Rozejrzyj się wkoło, bo przemijają...
- 22 Chłopaki z cienia**
To była prawdziwa, młodzieńcza pasja...
- 26 Nasze piwo**
Zostawiliśmy za sobą taką piwną potęgę jak Czesi...
- 30 Ceramiczne lato**
Może być piękne, gorące, słoneczne, może też być ceramiczne...
- 32 Jestem stąd**
Staramy się, żeby zmieniał się sposób nauczania. Ma być nowoczesnie...
- 37 Jak w rodzinie**
Plac zabaw, to nie jest jakaś tam sobie inwestycja...
- 40 Kochane zimnokrwiste**
Pojechał pan Marcin na targ do Sochaczewa, zobaczył stojące na przyczepie biedactwo...
- 44 Najważniejszy jest pomysł**
...ale żeby go zrealizować, potrzebne są pieniądze...
- 48 Lato pełne ziół**
Warto je uprawiać, jeść i zachować w pamięci na zimową porę...



7



32



26



Od Redakcji

Sierpień. Ostatni miesiąc naszego lata. Kiedy w Lesznowoli na pola wjeżdżają kombajny, robi się jakoś smutno. Kostki słomy znikają z pól, a to znaczy, że zbliżamy się do jesieni. Na szczęście jesień w naszej gminie jest piękna, bo mamy to szczęście, że mieszkamy wśród lasów, wśród drzew, które przyozdobią się w jej barwy.

W trzecim numerze „mojej Lesznowoli” mamy kolejny dowód na to, że ciekawych postaci w naszej gminie nie brakuje.

Dwóch młodych ludzi robi rajdowe samochody z najwyższej półki. Do nich przyjeżdżają mistrzowie polski i sławni kierowcy ze świata.

W naszej gminie powstaje linowy park rozrywki dla dzieci i dorosłych.

Czy znacie historię Browaru Jabłonowo? To przecież nasz browar, który rozwijał się niemal na naszych oczach, a dziś jest w trójce największych browarów w Polsce.

W poprzednim numerze napisaliśmy, że system oświatowy w naszej gminie jest zupełnie unikalny. W tym numerze wracamy do tego tematu.

Bez wątplenia wszyscy nasi Czytelnicy znają zespół „Ich Troje” i lidera zespołu Michała Wiśniewskiego, ale nie wszyscy znają takiego Michała Wiśniewskiego, jakiego przedstawiamy w tym wydaniu „mojej Lesznowoli”.

Kto z naszych Czytelników wie, co to jest „Ceramiczne lato”? Podejrzewamy, że bardzo niewielu. Szkoda, bo przepada okazja, by pożytecznie i ciekawie spędzić czas.

„Kochane zimnokrwiste” to tekst o hodowcy koni z Lesznowoli. Może dzięki niemu będziemy mieli w naszej gminie zawody, jakich jeszcze tu nie było.

„Życie moje” to tekst napisany po rozmowie z Honorową Obywatelką Gminy Lesznowola, dziewięćdziesięcioletnią mieszkanką Mrokowa, panią Alicją Majerską. To wyjątkowa, pełna energii i nowych pomysłów osoba, którą zdecydowanie warto poznać.

Każde spotkanie upewnia nas, że hasło miesięcznika „Poznajmy się”, nabiera wartości.

Milej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk

ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska

DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2

KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

MROKÓW DAWNIEJ

*Obora pełna krów, stado koni, pastwisko.
I pies laszący się do nóg i dzwonów granie,
Kościół blisko.*

*A w sadzie jabłek, gruszek krocie.
Także orzechy pod drzewami
A w ulach miód i pszczoł brzęczenie
I dywan trawy pod stopami!*

*I stary dom co z dębem gwarzy
I dawne czasy przypomina.
Portrety w ramach są na ścianach.
I szczebiot dzieci i rodzina.*

*Na polach zboża i bławatki
I bażant zerwał się do lotu
Tu zajęc bieży do swej norki.
Tam kogut pieje gdzieś u płotu.*

*A słońce śmieje się w błękicie
I drażni chmurki promieniami.
Wiatr szemrze w drzewach, co dokoła
Zdobią nasz Mroków konarami.*

*Jeśli ktoś kiedyś mi pokaże
Piękniejsze miejsce na tej ziemi,
To dam mu medal za wygraną
Ale zostanę między swymi.*

Alicja Augustyńska – Majerska z tomiku „Rymy i rytmy”

Ten Mroków jest już tylko wspomnieniem. Do dziś stoi stary, blisko dwustuletni dom w cieniu wiekowego dębu i kościół po sąsiedzku. W starym domu mieszka cudownie młoda, dziewięćdziesięcioletnia właścicielka pani Majerska. Honorowa Obywatelka Gminy Lesznowola.



Życie moje

***Działaliśmy z mężem na różnych polach.
Jak wiedzieliśmy, że czegoś w Mrokwie brak,
to chcieliśmy, by było.***

Umówić się na spotkanie z panią Majerską łatwo nie było. W wakacje pusty dom wypełnia się gośćmi. Przyjeżdżają z zagranicy w odwiedzinach dzieci i wnuki. Wpadają znajomi z Polski. Ruch, gwar, wspomnienia. Tak będzie do końca sierpnia, potem pani Majerska pojedzie nad morze odpocząć – przynajmniej tak mówi. Gdy wróci, usiądzie pewnie do komputera i będzie pisała wiersze lub wspomnienia o Mrokwie. Napisała książkę „Mroków wczoraj i dziś”, może dopisze ciąg dalszy. A może chwyci za pędzle, stanie przed sztalugą i zacznie malować albo pochyli się nad książkami w swojej bibliotece. Może też zacząć tkąć gobeliny, bo krosno jeszcze stoi.

– Ja nie jestem rodowitą Mrokwianką – mówi pani Majerska. – Moje dziewięćdziesięcioletnie życie płynęło w tak różnych miejscach i w tylu miejscach, że wspomnę tylko niektóre. Te najistotniejsze.

Był i Żerań, i Warszawa, i Piastów, i znów Warszawa. W Warszawie „zaliczone” powstanie, gruzy, zniszczenia ucieczka.

ZŁOTA 30

Pod tym numerem na ulicy Złotej w Warszawie zastało panią Majerską powstanie. Była sanitariuszką AK. Kiedy wybiła godzina „W”, wyszła z domu, by zgłosić się na wyznaczony punkt, ale z Hotelu Astoria przy Chmielnej szedł tak zmasowany

ostrzał niemiecki, że nie sposób było przebiec przez ulicę.

Udało się dojść do rogu Złotej i Wielkiej, ale w Aleje Jerozolimskie 111 było jeszcze daleko. Stojący na rogu Złotej, dowodzący odcinkiem, zatrzymał sanitariuszkę Majerską. – Proszę popatrzeć, powiedział. – Jest tak wielki ostrzał, są już zabici i ranni. – Spojrzałam, widzę zabitego powstańca obok niego leży motocykl. Myślał pewnie, że na motocyklu zdoła przejechać. Nie przejechał trafiony kulą.

Wróciłam do domu. Trwały walki, były bombardowania. W naszym domu były tzw. sklepienia kleinowski, dzięki którym piwnice zapewniały nam schronienie. Tam opatrywałam

Jedne babcie wyjeżdżały do dzieci do Kanady, by pomagać wychowywać wnuki, a pani Majerska dodatkowo, by malować.



przynoszonych ze Złotej rannych. Tych ciężej rannych odsyłałam po udzieleniu pierwszej pomocy na Złotą pod 22 lub 28 do szpitala.

Z domu na Złotej 30 została tylko kupa gruzu. Przez pewien czas mieszkałam na ul. Ogrodowej u koleżanki mojej ciotki. Stamtąd z mamą, siostrą i bratem a także ojcem, przenieśliśmy się do Wrocławia. Na długie dwadzieścia lat Wrocław. – We Wrocławiu pani Majerska skończyła Akademię Sztuk Pięknych.

Jedne babcie wyjeżdżały do dzieci do Kanady, by pomagać wychowywać wnuki, a pani Majerska dodatkowo, by malować.

– U córki zostawiłam ponad trzydzieści obrazów – mówi. – W domu

w Mrokowie też jest ich trochę. Wcześniej zajmowałam się tkaniem gobelinów. To był czas twórczości Magdaleny Abakanowicz, powstawały słynne abakany, więc wiele kobiet zaczęło tkać. Ja zresztą tkałam już w czasie okupacji w Warszawie. Tyle tylko, że wtedy tkałam materiały, by zarobić na chleb. Nie było przecież ubrań, nie było się w co ubrać, więc potrzebne były materiały.

KANADA

Z Wrocławia w 1963 roku państwo Majerscy na zaproszenie ojca męża pani Majerskiej, emigranta za chlebem i pracą, człowieka, który przeżył w Kanadzie 35 lat i wrócił do kraju, by umrzeć, wyjechali do

Ontario w Kanadzie.

– Co robiłam w Kanadzie?
– Uczyłam w polskiej szkole, ale też wykonywałam różne paskudne roboty.

Ponieważ teść miał plantację tytoniu a na niej robotników, ja stałam się kucharką. Dwudziestu robotników trzy razy dziennie zasiadało do stołu. Musiałam ich nakarmić, a apetyty mieli okrutne. Mąż pomagał teściowi na plantacji.

Po pięciu latach, w 1967 roku wróciliśmy do Polski.

FOLWARK MROKÓW

– Za zarobione w Ontario pieniądze kupiliśmy Mroków. Kupiliśmy największe wówczas gospodarstwo.



Około dwudziestu hektarów.

Dzieci nie były tą decyzją zachwycone. Do szkoły było daleko. Przepelnione autobusy do Piaseczna często się nie zatrzymywały na przystankach. To samo było z autobusami do Grójca. Podróż do szkoły i ze szkoły do Mrokowa to była prawdziwa męka. Postanowiły wrócić do Kanady i za Gierka wyjechały z Polski. Mieszkają tam do dziś. Wprawdzie w różnych miejscach odległych od siebie o setki kilometrów, ale na wakacje przyjeżdżają z wnukami do Mrokowa.

Przyznam, że i ja nie byłam wtedy tą decyzją zachwycona, ale po latach doszłam do wniosku, że kupno gospodarstwa w Mrokowie, to była dobra decyzja. Przyzwyczyłam się do tego miejsca, wrosłam tu i jestem bardzo zadowolona.

Mam nadzieję, że konserwator zabytków nigdy nie pozwoli zniszczyć domu, w którym mieszkam. Kupowaliśmy go od gospodarza, który wspominał, że jego ojciec budował ten dom i przeżył w nim ponad osiemdziesiąt lat. On sam, gdy nam sprzedawał, miał ponad siedemdziesiąt, a od tego czasu upłynęło kolejne pięćdziesiąt. To na pewno jest zabytek. Kiedy wstawiałam nowe okna, starałam się, by były identyczne jak te stare, drewniane.

Chcecie wiedzieć, co robiłam w gospodarstwie? O Boże, wolę nie wspominać – wybucha śmiechem pani Majerska. – Powiem tylko jedno. Mój mąż pochodził z gospodarskiej rodziny. Któregoś dnia mówi do mnie – wiesz Alu, to jest jednak bardzo duże gospodarstwo. – Wiem, bo chciałam mieć przestrzeń wielką jak te przestrzenie w Kanadzie. Ale ja mówiłam o przestrzeni a mąż o wielkim gospodarstwie, w którym chciał mieć hodowlę, siał, zbierać, więc z tą Majerską nie było łatwo. Było i bardzo wesoło i bardzo poważnie.

Muszę powiedzieć, że ani ja, ani mąż nie byliśmy do tej pracy przygotowani. Te obowiązkowe dostawy, to gadanie o kułakach, to wszystko

było bardzo trudne. Ale z czasem zaczęło się normować, zmieniać. Zmieniło się kilka razy.

BIBLIOTEKA

Na naszą uwagę, że jest w Mrokowie osobą znaną, pani Majerska ze śmiechem odpowiada – tyle lat tu siedzę, to ludzie mnie znają. – Ale to nie jest cała prawda. Był czas, że w szkole zabrakło miejsca na bibliotekę. A tak się szczęśliwie złożyło, że pani Majerska, mieszkając we Wrocławiu, zrobiła kurs biblioteczny i w bibliotece pracowała.

Ponieważ dzieci były w Kanadzie, to w domu zrobiło się sporo miejsca. Pani Majerska postanowiła jeden pokój, przedpokój i werandę oddać na potrzeby biblioteki.

– Z Warszawy przyjechały dwie panie, obejrzały pomieszczenia i powiedziały – no tak, tu może być biblioteka, ale potrzebujemy też bibliotekarza. No to wyciągnęłam dokument potwierdzający ukończenie kursu bibliotekarskiego i zostałam bibliotekarką biblioteki szkolnej.

Piętnaście lat byłam bibliotekarzem biblioteki szkolnej we własnym domu.

Ludzie mnie znają, bo swego czasu oddaliśmy ziemię pod kościół w Mrokowie. Zakładałam związek emerytów. Działaliśmy z mężem na różnych polach. Jak wiedzieliśmy, że czegoś w Mrokowie brak, to chcieliśmy, by było.

Tak było np. z gazem. Ludzie nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jakim dobrodziejstwem jest w domu i gospodarstwie gaz. Podśmiewali się z nas, a mąż pojechał gdzieś, sprowadził rury, wykopali rowy pod przewody i gaz popłynął. Zapalił się. I już była zmiana na lepsze.

KOCHAM TO MIEJSCE

– Zmianą na lepsze było zdjęcie słomianej strzechy z domu i nowe pokrycie dachu. Zmianą na lepsze było to, że rosły posadzone przeze mnie własnoręcznie drzewa, że mogłam patrzeć jak rosną, jak się zielenią, jak kwitną. Że dookoła jest przestrzeń,

*Po latach doszłam
do wniosku, że kupno
gospodarstwa
w Mrokowie to była
dobra decyzja.*



że jest zielono, pięknie, że można oddychać czystym powietrzem.

Czego mi brakuje? Mieszkam zupełnie sama. Latem jest tu gwarno, bo przyjeżdżają i dzieci ze swoimi rodzinami, i wnuczkowie wpadają do babci, i dalsza rodzina mieszkająca w Polsce, i znajomi. Dom tętni życiem. Ale przychodzi jesień i zima.

Zimą mam czas na czytanie.

W pomieszczeniach gospodarczych zorganizowałam sobie bibliotekę, mam ponad dwa tysiące książek, więc jest, co czytać. Ostatnio nabyłam dwadzieścia dwa tomy Henryka Sienkiewicza. Ogromnie ciekawe są jego listy.

Mam też miejsce na malowanie. W jednym pomieszczeniu jest bilard i tam zawsze ćwiczy mój wnuk, gdy przyjeżdża do babci. Ja też czasem z nimi gram. Pochwalę się, że wygrałam z synową. W drugim pomieszczeniu wisi bokserski worek treningowy, bo drugi wnuczek trenuje boks. Wszystko to jest i od wakacji do wakacji czeka na moich wnuczków.

Kocham to miejsce. Po prostu kocham. ■

POWIEW MŁODOŚCI

Było kolorowo i radośnie. Ponad 300 młodych pielgrzymów przyjechało do naszej gminy w ramach Dni w Diecezjach, które poprzedzały główne obchody Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. Z Zambii, Filipin, Hiszpanii, Puerto Rico i Wenezueli – wszyscy powitani zostali chlebem, solą, muzyką i śpiewem. Była Lesznowolska Orkiestra Symfoniczna i zespół Tęcza. A potem odwiedziny w Derdach u Sióstr Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia, zwiedzanie Warszawy, Niepokalanowa i Żelazowej Woli.

Na terenie parafii w Starej Iwicznej stanął ogromny stół, bo nic tak nie łączy, jak wspólne biesiadowanie. Imprezy sportowe, pikniki integracyjne, ognisko i nowe przyjaźnie. Przez tych kilka dni w Lesznówoli czuć było powiew młodości.




moja Lesznowola

DZIECKO CAŁKIEM POWAŻNE



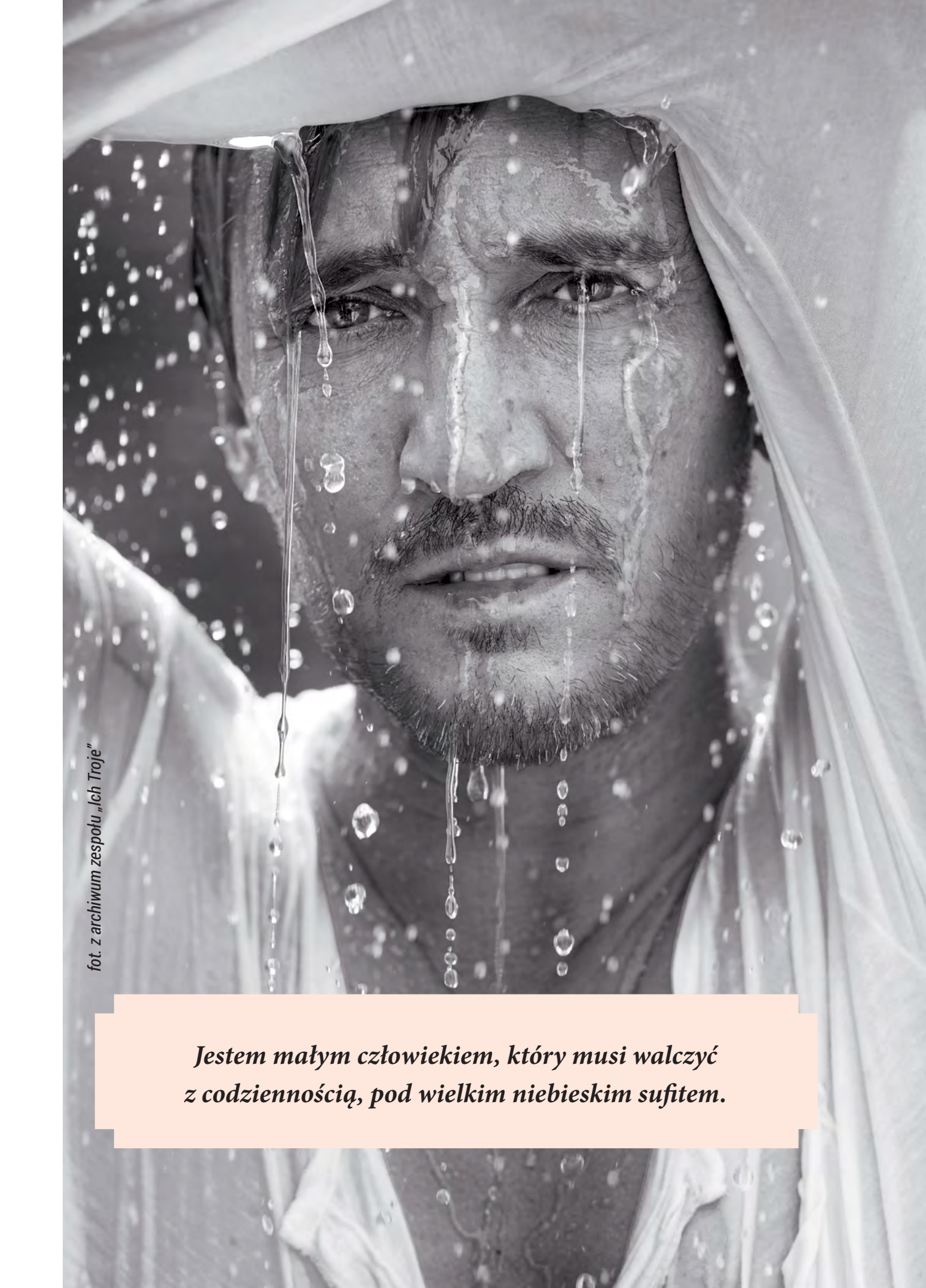
fot. z archiwum zespołu „Ich Troje”



*„...jeśli koniecznie muszę zostawić jakiś ślad
niech to będą trzy krzyżyki
powiecie – byłem ale jak zwykle taki niedorosty
powiecie – byłem jak zwykle niedorosty..”*

„Piosenka o trzech krzyżykach”

słowa Mirosława Szychowiak



fot. z archiwum zespołu „Ich Troje”

*Jestem małym człowiekiem, który musi walczyć
z codziennością, pod wielkim niebieskim sufitem.*

Z Michałem Wiśniewskim, liderem grupy „Ich Troje”, spotykamy się w jego domu w Łazach. Mieszka to od 11 lat, ale tak naprawdę sąsiadów nie zna. No może tych, którzy jak mówi, bardziej rzucają się w oczy.

Kiedy w 2014 roku organizował dla przyjaciół koncert w swoim domu, przeszedł się po sąsiadach, by uprzedzić, że będzie głośno, że mogą być pewne utrudnienia w ruchu lokalnym, bo przyjadą koledzy rajdowcy na swoich maszynach. Przeszedł się, by uprzedzić i na wszelki wypadek z góry przeprosić.

To był taki okazjonalny, sąsiedzki kontakt. Głośno było. Taki już jest. Wspomina o tym, oglądając miesięcznik „moja Lesznowola”, którego hasłem przewodnim jest „Poznajmy się”. Mieszkamy tu, żyjemy i niestety wcale się nie znamy.

Jedyne kontakty – zastanawia się pan Michał – to te, które wymusza niejako kościół i szkoła. Tam ludzie się spotykają, załatwiają sprawę i wracają do siebie. Szkoda.

KONCERT JUBILEUSZOWY

Wieczór 22 lipca, błonia przed urzędem gminy. Wójt i Samorząd Gminy zaprosili mieszkańców na występ Michała Wiśniewskiego. Mieszkańca gminy. Rzadki wypadek. Za chwilę rozpocznie się jubileuszowy koncert zespołu „Ich Troje”.

– Przyjechałem na koncert, patrzę zdziwiony. Nikogo nie ma. To taki odważny gest, myślę. Kilka dni temu graliśmy jubileuszowy koncert dla telewizji, tłumy ludzi, tłumy fanów, a tu, u siebie pustka. Dzielę się tą uwagą z panią wójt, a ona ze stoickim spokojem mówi – niech się pan nie martwi. Zaraz będą.

Przebrzmiały pierwsze takty muzyki, wychodzę na scenę i... miała rację. Ni stąd, ni zowąd pojawili się ludzie.

– Bardzo ciężko jest zagrać koncert u siebie – mówi Michał Wiśniewski. – Bo tak naprawdę, człowiek ma świadomość, że może zna w tym tłumie dwie, trzy osoby, że jest „klub piłkarski” ze szkoły, czyli dzieci – i to są wszyscy znajomi.

Gdyby nie pan Andrzej, który kosi u nas trawę i drugi pan, który nam pomaga, to i tych dwóch by nie było.

Ludziom czasem się wydaje, że jak człowiek jest popularny, to jest otoczony wiankiem znajomych, a tu rzeczywistość jest taka, a nie inna. Nie ma relacji międzyludzkich w miejscu zamieszkania. Przynajmniej jak takich nie mam. Nie wiem, dlaczego tak jest. Mieszkam tu i nikogo nie znam. Ludzie chyba nie są skorzy do integracji.

Na koncercie jak pamiętacie była młodzież, która do parafii w Magdalence przyjechała przed Światowym Dniem Młodzieży. Ja jestem protestantem, ale zafascynowały mnie te Dni Młodzieży.

Powiem coś, czego pewnie ode mnie przy okazji tej rozmowy nie oczekujecie. Kościół katolicki dzięki tym młodym ludziom, także tym, którzy przyszli na koncert, tym z Zambii, Filipin, Hiszpanii, Puerto Rico i Wenezueli pokazał ludzką twarz. Był bardzo blisko. Ci młodzi pokazali to, co ja bym chciał w Kościele oglądać na co dzień. Jedność nie pod logotypem pokemona, tylko jedność pod krzyżem.

Nie spotykamy się, by łapać pokemona, tylko by pośpiewać, pobawić się, poznać siebie. Nie chcę, żeby zabrzmiało to górnolotnie, ale jestem człowiekiem, który ceni sobie pewne wartości. Tak staram się też wychowywać swoje dzieci.





Ta młodzież, która przyjechał do nas ze świata, która potrafiła się zjednoczyć, wnieść tyle radości, spontaniczności – nie tylko młodzież, bo przecież przyjechali też ludzie starsi – zrobiła na mnie wielkie wrażenie. I dlatego było tak bardzo miło, gdy mogłem ich wieczorem na naszym jubileuszowym koncercie powitać i powiedzieć im, że Lesznowola, że to miejsce jest w tych dniach ich domem.

Tak, przy okazji wspomnienia jubileuszowego koncertu w Lesznowoli, mówił nam Michał Wiśniewski. Przyznamy, że nas zaskoczył. Zrozumieliśmy, że w swoim domu, całkiem prywatnie siedział przed nami i dzielił się swoimi obserwacjami Michał Wiśniewski, jakiego nie znaleźmy. Nie odparcie cisnęło się pytanie, kim jest ten, który siedzi przed nami?

JEŚLI ZAWIODŁEM TO...

– Jestem dzieckiem. Jak każdy mężczyzna jestem troszeczkę dzieckiem. Dzieckiem, które posiada własne poczucie wartości. Moim największym osiągnięciem w życiu jest piątka dzieci.

Jestem facetem, który ma powód do życia.

Mój tata popełnił samobójstwo, kiedy miałem 37 lat, kiedy po latach spędzonych w domach dziecka, rodzinach zastępczych do niego wróciłem. Nie wytrzymał presji tego powrotu i dwa dni potem odebrał sobie życie.

Ja staram się nadrabiać, naprawiać błędy przeszłości. Nie wszystko mi się udaje, ale się staram.

Po dwudziestu latach w show biznesie wiem, że sztukę traktujemy tak powierzchownie, jak obraz, obok którego przechodzimy. Tak naprawdę niczego nie chcemy się dowiedzieć. Nie chcemy wiedzieć, dlaczego ta czerwona kropka w obrazie jest na białym tle. Dla jednych będzie to tylko czerwona kropka na białym tle i nic więcej.

Każda sztuka, czy to malarstwo, czy muzyka, ma swoją ekspresję, która ewoluuje przez lata. Ma milion twarzy.

Po tych latach w show biznesie doszedłem do wniosku, że wiele rzeczy, które napisałem ze względu na komercjalizację tej branży, nie ujrzało światła dziennego. Nie zaistniało. Artysta ze swoim prawdziwym przekazem, z uwagi na oczekiwania ogółu nie ma szans, aby powiedzieć to, co chciałby powiedzieć naprawdę.

Mam tu dwie swoje płyty. Jedna ma popową twarz Michała Wiśniewskiego, w której przemycam czasami różne wartości.

Druga to piosenka poetycka, która jest jakby moim domem.

Polecam tekst Mirki Szychowiak, piosenki napisanej dla mnie „*Analfabetyzm*”. – Jeśli muszę koniecznie zostawić po sobie coś, niech to będą trzy krzyżyki.

Naprawdę bardzo ciężko jest przekonać świat do tego, że chcemy mu coś przekazać. To bardzo frapujące, jeśli po dwudziestu latach dochodzi się do wniosku, że większość z tych rzeczy, które się stworzyło, pozostanie bez jakiegokolwiek komentarza audytorium, do którego człowiek się zwracał.

Czy gdybym to wiedział na początku swojej drogi, to bym nią nie szedł? Artyści to próżni ludzie. Oni głównie koncentrują się na sobie, robią wszystko dla siebie i jeszcze za to oczekują gloryfikacji. A to jest bardzo złe myślenie, bo ono jest powodem frustracji.

W moim przypadku było tak, że dostałem wielką gratyfikację za to, co zrobiłem, ale paradoks polega na tym, że za to akurat tak wielkiego uznania nie oczekiwałem. Chciałem go zyskać za zupełnie co innego.

Proszę mi wierzyć, że za najbardziej popularny nasz przebój „*A wszystko to, bo ciebie kocham*” nie chciałem być wyróżniony. Chciałem za masę innych rzeczy.



fot. z archiwum zespołu „Ich Troje”

***Moim największym
osiągnięciem w życiu
jest piątka dzieci.
Jestem facetem, który
ma powód do życia.***

fot. z archiwum zespołu „Ich Troje”



Jak jest źle, to jest źle, ale jak jest za dobrze, to też nie jest dobrze. Zawsze na końcu ktoś znajdzie powód do narzekań i odetnie sobie ucho. Próżność.

Siedem lat temu od Günтера Grassa dostałem obraz. Jego grafikę. Napisał na niej, że na tym z najpiękniejszym światów nie ma niczego piękniejszego, jak usiąść na ławeczce i obcować ze słowem. I ja sobie obcuje.

Jestem małym człowiekiem, który musi walczyć z codziennością, pod wielkim niebieskim sufitem.

DROGA DO LESZNOWOLI

– Ja jestem z miasta Łodzi. Do Warszawy było mi bardzo daleko. Kiedy rozpoczęliśmy naszą przygodę z muzyką, po pięciu latach osiągnęliśmy niespodziewanie komercyjny sukces, który nie pozwalał już na to ciągle dojeżdżanie do stolicy.

Najpierw więc kupiłem mieszkanie w Warszawie, a później, kiedy urodziła się dwójka dzieci, doszliśmy do wniosku, że trzeba pójść krok dalej. Dzieciom potrzebny był dom. I tak zaczęła się moja przygoda z Lesznowolą.

Ten dom, w którym jesteśmy, to był pierwszy dom, jaki zobaczyłem i pierwszy, jaki kupiłem. Było to jedenaście lat temu.

Generalnie staram się żyć. Jestem pilotem, więc głównie latam. Zaczynałem od symulacji, a teraz na symulacji kończę. Rozpoczynam taki program „Orle gniazdo”. Chcę zebrać pieniądze i w trzydziestu liceach otworzyć przyszłolne koła lotnicze.

W każdym kole będzie symulator lotu i symulator kontroli ruchu lotniczego. Jestem już po rozmowach z Polską Agencją Żeglugi Powietrznej. W Europie brakuje 31 tysięcy pilotów. Warto zatem zarazić młodzież tym zawodem.

Ja zaczynałem od symulacji i zostałem pilotem. Wiele osób, które zaraziłem swoją pasją zostało pilotami i dziś lata po świecie w różnych liniach lotniczych. Mam satysfakcję, że to ja ich tym zaraziłem.

Drugą moją odskocznią od muzyki jest jazda w rajdach samochodowych. Robię to trochę z uwagi na żonę, która jest menedżerem rajdowym. Nie stać mnie na to, by być rajdowym kierowcą, ale jako pilot sprawdzam się całkiem dobrze. Jeżdżę z kierowcami, którym ufam i staram się ich bezpiecznie przeprowadzić przez rajd.

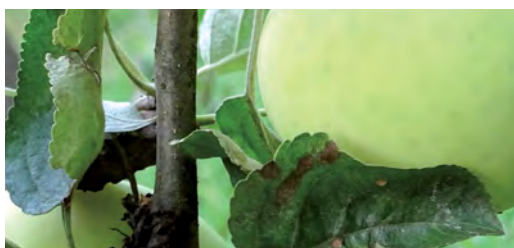
Kropka. ■



WSZYSTKIE KOLORY LATA

Kryją się w dojrzewających owocach, liściach wygrzanych na słońcu i w płatkach kwiatów. Ich intensywność zmienia się w zależności od pory dnia i temperatury. Nie ma takiej palety, która pomieściłaby ich wszystkie odcienie. Barwy lata właśnie teraz prezentują najpełniejsze tonacje. Amarant, królewski błękit, cyklamen, ultramarzyn, pompejański róż, indygo...

Rozejrzyj się wkoło, bo... przemijają.





zdjęcie z archiwum braci Mączyńskich
po lewej Seweryn, po prawej Krzysztof

CHŁOPAKI Z CIENIA

Pierwszego gokarta skonstruowali, gdy byli w szkole podstawowej. Tej naszej, w Lesznowoli. Dziś do ich warsztatu trafiają terenówki warte kilkaset tysięcy. Ostatnio robili samochód wart blisko półtora miliona.

Krzysztof i Seweryn Mączyńscy to chłopaki z Lesznowoli. Tu się urodzili, tu chodzili do szkoły. Tu mieszkają od lat, tu pracują.

Ojciec, kierownik mechanik pozwalał synom oswajać się z warsztatem samochodowym i z samochodami. Nic więc dziwnego, że już w szkole podstawowej dziesięciolatki zaczęli pod okiem ojca majstrować i budować pierwsze motorynki a nawet gokarty.

PO DRABINCE DO GÓRY

To była prawdziwa, młodzieńcza pasja. Na szczęście dla nich, pasja, która im nie przeszła. Po szkole w Lesznowoli poszli do Technikum Mechanicznego w Ursusie. Seweryn zaczął swoją samochodową przygodę jako kie-

rowca samochodów ciężarowych i TIR-ów, a Krzysztof zaczął znajomym naprawiać samochody. A że naprawiał dobrze, wkrótce musiał założyć działalność gospodarczą i otworzył warsztat „Mączek garage”.

Potem mieli własne samochody. Malucha, poloneza, BMW. Ale powiedzieć – mieli samochody, to tak jakby nie powiedzieć nic. Bo ich samochody były tuningowane.

Zagłędamy do Wikipedii. Tuning samochodów (z ang. regulacja, strojenie) – to zmiana standardowego wyglądu samochodu, motocykla i jego fabrycznych parametrów technicznych w celu stworzenia oryginalnego egzemplarza danego modelu, dostosowanego do gustu właściciela (kolorystyka, osiągi, eksploatacja itp.).

Seweryn i Krzysztof mówiąc obrazowo, rozbierali



***Samochody startujące w rajdach terenowych
muszą być „szyte na miarę” kierowcy, jak garnitury.
Człowiek i samochód muszą stanowić jedną całość.***

samochody na drobne części, a potem robili je na nowo. Tyle tylko, że mocniejsze, bardziej bezpieczne, wytrzymałe, inne.

Zaczynali od własnego Malucha, a potem – powoli, powoli wchodziliśmy po drabinie do góry – mówi Seweryn.

Poza pracą zawodową, było hobbyistyczne, wieczorowe i weekendowe poprawianie samochodów.

Tuning stał się prawdziwą pasją. Pasją udaną do tego stopnia, że ludzie zaczęli swoje samochody sprowadzać na Okrężną. Seweryn nie miał wyjścia. Przeszał jeździć na TIR-ach. – Musiałem usiąść na tyłku i robić auta. Tak się narodził „Dziani garage”.

RODZINNY ZESPÓŁ

Podział pracy w zespole braci Mączyńskich jest klarowny. Krzysztof – elektryka i mechanika. Seweryn – blacharstwo, lakiernictwo i stylizacja nadwozia.

Raz w roku na jakiś czas garaż na Okrężnej jest zamknięty dla klientów. Bracia budują samochód. – Ten żółciutki budowaliśmy cztery miesiące. Ludzie nie wierzyli, że nam się to uda – mówi Seweryn wskazując rajdowe Mitsubishi Pajero. Pierwszy samochód Mitsubishi Pajero budowaliśmy rok, ale budowaliśmy go dorywczo, po godzinach. Drugi to już szybko. Obydwa samochody były budowane dla mistrza Polski w rajdach terenowych Grzegorza Szwagrzyka.

Grzegorz szukał mechanika i jakoś trafił na naszego ojca, zgodali się i ojciec mówi – szukasz mechanika, to ja takiego mam. – I tak się zaczęło. Krzysztof zaczął opiekować się poprzednim samochodem rajdowca i w końcu doszło do tego, że – zaczęliśmy dla Grzegorza robić samochody.

ROBIMY SAMOCHODY

– Co to znaczy robić samochód? To znaczy, że z seryjnego samochodu jaki przyjeżdża do nas robimy inny, nowy samochód. Do warsztatu wjeżdża samochód seryjny, wyjeżdża rajdowy samochód terenowy. Tak to można w ogromnym uproszczeniu opisać – mówią bracia.

Praktycznie wygląda to tak, że Mączyńscy rozkręcają cały samochód na najdrobniejsze części. Do gołej blachy. Potem czyszczą samochód z lakieru. Piaskują, poprawiają spawy, wzmacniają fabryczne zgrzewy. Stosują własne patenty, by podwozie podczas rajdu nie pękło. Aby się samochód nie rozleciał. Dokładają dodatkowe amortyzatory, robione na ich zamówienie specjalnie pod samochód. Do standardowych czterech dokładają cztery swoje. Wzmacniają wahacze, całe zawieszenie.

Wszystko najpierw powstaje w głowie, potem na rysunku, potem trzeba zrobić wyliczenia, projekt, wykonać prototyp, sprawdzić, zbadać, uzyskać homologację.

– Wszystko jest inne niż seryjne – mówi Seweryn.

moja Lesznowola

Koszt np. takich amortyzatorów zaczyna się od dziesięciu tysięcy Euro. Mogą być po 25 i po 30 tysięcy. Samochód, który był u nas kilka dni temu, miał amortyzatory za 25 tysięcy Euro.

Nasze auta z powodzeniem wytrzymują siły przeciążeniowe rajdu – mówi Krzysztof. Jeśli jest jakiś określony współczynnik zmęczeniowy dla amortyzatorów, to my go liczymy razy dwa i jesteśmy spokojni podczas rajdu. Dlatego inne samochody po przejechaniu po dziurach na poligonie odcinka 150 km, gdy zjeżdżają na serwis, mają pourywane zawieszenia, koła. Nasze auta przyjeżdżają całe. Mamy trzydzieści minut na serwis, podczas których na ogół coś dokręcamy, sprawdzamy, ale nie mamy żadnych wymian.

Jeżdżą na Rajdowe Mistrzostwa Polski Samochodów Terenowych. Najbliższy, na który się wybierają to Baja Poland w Szczecinie. Jest to jedna runda Mistrzostw Świata w Rajdach Terenowych, która odbywa się właśnie w Szczecinie a dokładniej na poligonie w Drawsku Pomorskim.

Dla kogo robili samochody? Dla wielokrotnego mistrza Polski w rajdach terenowych, Grzegorza Szważyka a także dla Katarzyny Rebeki Jankowskiej, która startuje w rajdach od dziesięciu lat. Seweryn i Krzysztof zaj-



mują się serwisem tych aut na co dzień i podczas rajdów.

Serwisują i przygotowują także samochody dla innych kierowców rajdowych, także zagranicznych. Ostatnio z ich warsztatu wyjechało auto rajdowe warte półtora miliona złotych.

Ogromną zaletą naszych pasjonatów, zapaleńców, wreszcie zdolnych fachowców z ulicy Okrężnej jest skromność. Rajdy wygrywają kierowcy. O nich piszą gazety, oni ustawiają się do kamer, są otaczani przez hostesy. Ich nazwiska chodzą na giełdach nazwisk w rajdowym świecie. Jednak nie da się wygrać rajdu, nie mając pew-



Raz w roku na jakiś czas garaż na Okrężnej jest zamknięty dla klientów. Bracia budują samochód.



Wszystko najpierw powstaje w głowie, potem na rysunku, potem trzeba zrobić wyliczenia, projekt, wykonać prototyp, sprawdzić, zbadać, uzyskać homologację.

nego, niezawodnego sprzętu. Taka jest prawda.

Samochody startujące w rajdach terenowych muszą być „szyte na miarę” kierowcy, jak garnitury. Człowiek i samochód muszą stanowić jedną całość. Fotel musi być zrośnięty z kierowcą i pilotem tak, żeby wyeliminować najmniejszy nawet luz. I takie samochody na miarę szyją Seweryn i Krzysztof.

„Swoje” samochody sprawdzają na 110 procent przed rajdem. – Jesteśmy przed startem pewni, że samochód wytrzyma trudy rajdu. Dlatego podczas rajdu jesteśmy spokojni – mówi Seweryn. Sprawdzamy luzy, coś poprawiamy, ale generalnie mamy spokój i pewność, że nasz samochód ukończy rajd. Przerwy między odcinkami rajdu są półgodzinne. Kiedy inni mechanicy wymieniają części czy zespoły, my robimy sobie grilla.



JESTEŚMY W CIENIU

Co się dzieje, kiedy załoga, której robimy samochód zwycięża? Jest ogromna radość, są puchary, oklaski, oblewanie szampanem. My stoimy z daleka i patrzymy. Mamy satysfakcję, że nasz samochód nie zawiódł. Nagrody są nie dla nas. My jesteśmy w cieniu. Tak już w tym sporcie jest.

W tym roku zdarzyło się tak, że nasze dwa auta były na podium. Kierowca i pilot podziękowali nam za przygotowanie maszyn. Było miło. Ale to zdarza się rzadko. Bardzo rzadko.

Seweryn i Krzysztof mogą na temat swojej pasji, tego co robią, jak budują samochody, mówić godzinami. Zasypywać nas fachowymi terminami, pokazywać części i zastosowane rozwiązania. Z przyjemnością się ich słucha, bo czuć, że to ich życie, że ta praca daje im ogromną satysfakcję.

Ulicą Okrężną przejeżdżaliśmy wiele razy. Nigdy nam do głowy nie przyszło, że w skromnym garażu, bez szumu, reklamy w ciszy i spokoju dwóch młodych pasjonatów robi takie rzeczy. Teraz już wiemy. ■



NASZE PIWO

Niech nam właściciel browaru Jabłonowo wybaczy, ale co w naszej gminie, to nasze. Przecież nikt nam nie zabroni mówić, Jabłonowo to nasz browar. Wprawdzie jego właścicielem jest Huber Buksowicz, ale skoro jest w naszej gminie, więc w jakimś sensie jest nasz. Dlatego pozwoliliśmy sobie na taki tytuł.



Jeśli ktoś zajrzy do Wikipedii, przeczyta, że piwo to najstarszy i najczęściej spożywany napój alkoholowy oraz trzeci po wodzie i herbacie najpopularniejszy napój na świecie. Ale nie to jest powodem, dla którego odwiedziliśmy Jabłonowo. Nie będziemy pisali o piwie, tylko o tym, czego dowiedzieliśmy się o browarze od pana Huberta Buksowicza, właściciela Browaru Jabłonowo.

MODA NA PIWO

Pierwsze własne piwo z Browaru Jabłonowo poszło w Polskę w 1992 roku. Był to czas, kiedy do Polski zaczęło docierać piwo z zagranicy, co wywołało ogromne zmiany w naszym przemyśle piwowarskim. Zachodnie firmy zaczęły wchodzić na nasz rynek, a polskie zaczęły inwestować w browary.

Rozpoczęła się moda na piwo. W latach dziewięćdziesiątych Polacy pili zaledwie jedną trzecią piwa spożywanego dzisiaj. Rynek piwny przez dwadzieścia kilka lat rósł. Do dziś urósł trzykrotnie. Ten popyt na piwo dawał pieniądze, a te można było inwestować w nowe technologie, nowe urządzenia i w ekologię. Polski przemysł piwowarski z bardzo marnego poziomu wykonał skok do światowej czołówki. Do ścisłej światowej czołówki.

– Zostawiliśmy za sobą taką kiedyś piwną potęgę jak Czesi. Czeskie browary osiągnęły swoją potęgę dawno, dawno temu. Nie musiały modernizować zakładów, bo były one na dobrym poziomie. Skoro nie było przymusu – stanęły. My szliśmy do przodu. Budowano i rozwijano zakłady. Braliśmy ze świata to, co w przemyśle piwowarskim najlepsze – mówi pan Hubert.

Nim jednak zaczęła się moda na piwo, założyciele browaru w Jabłonowie o piwie nie myśleli. Zajmowali się zupełnie czymś innym.

OD PRZĘDZALNI DO BROWARU

Niewielu mieszkańców gminy wie, że w miejscu gdzie jest dziś znany Browar Jabłonowo, śp. Leon Buksowicz, ojciec pana Huberta, założył przędzalnię. Tak, tak – przędzalnię. Jak do tego doszło? – Opo-



wiada pan Hubert.

– Leon Buksowicz był całe życie przedsiębiorcą. Wprawdzie po studiach jakieś dwa lata przepracował na uczelni, ale ponieważ miał dość twardy kręgosłup i nie bardzo chciał się angażować politycznie, wiedział, że jako prawnik kariery raczej nie zrobi. Postanowił działać prywatnie.

Miał kilku kolegów, którzy poszli tą drogą, mieli już jakieś doświadczenie, więc i o motywację do podjęcia pracy na własną rękę było bliżej.

Państwo Buksowiczowie postanowili, jak to się mówi – iść w ogrodnictwo. Trzeba powiedzieć, że po ślubie szczęście im dopisywało. Byli zmotoryzowani, bo na książeczkę oszczędnościową wygrali „Syrenkę”, po babci dostali mieszkanie, drugie mieli własne, więc należeli do ludzi dość zamożnych. I wtedy podjęli decyzję.

W 1972 roku, kiedy mały Hubert miał cztery lata, sprzedali wszystko. Zostawili Warszawę, kupili cztery hektary ziemi w Jabłonowie, postawili szklarnie i namioty foliowe. Ubrania powiesili na gwoździach wbitych w ścianę, bo nawet szafy nie było i zaczęli nowe życie. Wkrótce okazało się, że to była świetna decyzja. Ogrodnictwo dawało dobre zyski.

Wszystko jednak co dobre, kiedyś się kończy. Tak jak dla rolników

z gminy Lesznowo kończył się czas, kiedy zaopatrywali Warszawę w nowalijki i sprzedawali do Hortexu swoje produkty, tak i dla gospodarstwa państwa Buksowiczów nastaly czasy gorsze.

– Może gdyby ojciec gospodarstwo mocniej doinwestował, przetrwał trudny czas, byłoby inaczej – mówi pan Hubert, ale ojciec już był myślami gdzie indziej. Szukał nowego pomysłu na życie i na nowy prywatny biznes.

Pobudował nowe budynki i był bardzo bliski założenia stolarni. Był pomysł uruchomienia mieszalni farb i profesjonalnej wytwórni lodów. Skończyło się na tym, że poznał dwóch fajnych ludzi i postanowili otworzyć przędzalnię.

W Jabłonowie powstał Zakład Utylizacji Odpadów Włókienniczych. Wszystko, co w przędzalni wyprodukowano, było sprzedawane. Wielkie, państwowe zakłady do Jabłonowa sprzedawały szmaty, odpady tkanin, wełny, materiałów tekstylnych, które w wielkich worach sprowadzano do zakładu. Specjalistyczne maszyny rozrywały na strzępy te odpady produkcyjne i przerabiała na nici. Z Jabłonowa wjeżdżała przędza nawinięta na szpulki. Szpulki kupowali dziewiarze.

Skoro była przędza, można było

w Jabłonowie dodatkowo uruchomić produkcję swetrów. Zakład Utylizacji Odpadów Włókienniczych kwitł. Kwit do czasów naszej transformacji. Potem import zaczął zalewać rynek i właściciele przędzalni zaczęli zastanawiać się nad nową, życiową przygodą.

Przędzalnia została zamknięta. Hubert Buksowicz właśnie skończył studia na SGPiS. Studiował też równoległe mechanikę precyzyjną na Politechnice Warszawskiej, ale na obronę dyplomu już czasu nie starczyło, bo trzeba było wejść w nowy biznes.

Podobnie jak ojciec, chciał działać na własny rachunek, ale doszedł do wniosku, że dobrze będzie działać razem z ojcem.



RODZINNY INTERES

Pan Hubert do rodzinnego interesu, którym tym razem był browar, przystąpił z własnym wkładem finansowym. Jako student dorabiał sobie „handlem zagranicznym” sprowadzając z dalekiego wschodu swetry, bo znał się dzięki przędzalni na wełnie. Sprowadzał też maszyny do szycia, co pozwoliło mu zgromadzić całkiem przyzwoity kapitał, który bardzo się przydał przy uruchamianiu browaru.

Dlaczego browar? Przypadek. Czysty przypadek – wspomina pan Hubert.

– Jeździliśmy na międzynarodowe targi, głównie na Polagrę do Poznania i szukaliśmy odpowiedzi na pytanie, co robić. W co inwestować? To była prawdziwa burza mózgów. Pamiętam, siedzieliśmy wieczorem w hotelu przy piwie i przeglądaliśmy katalogi różnych firm, szukając pomysłu.

Może otwórzmy francuska piekarnię? Nie, nie – lepiej szwajcarską. A może fabrykę jogurtu? To może zainwestujemy w linię mrożonych frytek? Ziemniaków w Polsce pod dostatkiem. Nic nie wybraliśmy. Ale dowiedzieliśmy się, że jest na horyzoncie interesujący rynek piwny.

Kupmy linię do produkcji butelek, będziemy kupowali piwo w cysternach i rozlewali do butelek. Stało, że wchodzimy w to. Pojechaliśmy do człowieka, który takie linie sprowadzał i się na nich znał. Rozmawiamy, rozmawiamy, a nasz rozmówca mówi. Panowie, po co macie się prosić i kupować piwo. Raz wam sprzedadzą, innym razem nie. Po co macie być zależni od kogoś, kto rządzi państwowymi browarami. Załóżcie niewielki, ale własny browar.

***Pierwsze własne piwo
z Browaru Jabłonowo
poszło w Polskę w 1992 roku.***



Z początku wydawało się nam, że to pomysł szalony. Ale zobaczyliśmy, że takie małe browary właśnie zaczynają powstawać. Zaczęliśmy się poważnie do pomysłu przymierzać. Znaleźliśmy świetnego fachowca, który lata całe pracował w przemyśle piwowarskim i nam browar zaprojektował. Adaptowaliśmy budynki przędzalni i browar w Jabłonowie ruszył.

Wyobrażaliśmy sobie, że tak jak w Niemczech czy w Belgii, będzie to małe lokalny browar, sprzedający piwo dookoła komina dla lokalnej społeczności. Okazało się, że u nas to niemożliwe. Nie ma takiej konsumenckiej lojalności, więc trzeba rozwinąć browar na odpowiednią skalę. Bo tylko skala daje zyski, a zysk pozwala zwiększać produkcję.

Przez pierwsze lata z roku na rok podwajaliśmy produkcję. Najpierw wiaderko, a potem dwa. Po dwudziestu pięciu latach Browar Jabłonowo jest w grupie niezależnych regionalnych browarów. Jesteśmy w czołówce, jeśli chodzi o jakość i skalę produkcji. W pierwszej trójce największych browarów w Polsce.

MOJE PIWO

– Piwa musiałem się uczyć. Jestem przekonany, a lata praktyki to potwierdziły, że jeśli się prowadzi jakąś działalność, to trzeba się na tym znać. Trzeba to poznać. Im mniejsza działalność, tym bardziej trzeba się w nią wdobyć.



*Jesteśmy w czołówce,
jeśli chodzi o jakość
i skalę produkcji.
W pierwszej trójce
największych browarów
w Polsce.*

Na początku potrafiłem sam całe piwo uwarzyć i odfiltrować. Często się zdarzało, że pracownik nie przyszedł, zachorował i trzeba było go na linii produkcyjnej zastąpić. I ja to robiłem.

Jeśli chodzi o nasze piwo, to zawsze staraliśmy się jakoś wyróżnić. Byliśmy i jesteśmy browarem bardzo innowacyjnym. W latach 90-tych w Polsce było jedno piwo. Zwykła 12, jasne pełne. Pomyśleliśmy, zrobimy piwo mocne. Okazało się, że próba była udana. Powstało piwo trochę mocniejsze, smaczne, treściwe. Zaczęliśmy się, więc w takich piwach specjalizować.

Potem poszliśmy trochę w kierunku piwa irlandzkich, ale Polacy nie lubią piw gorzkich, więc np. nasz Belfast jest goryczy i takiego dymnego smaku pozbawiony. Po prostu trochę zmieniliśmy recepturę. Powstało czarne, ciemne piwo i to był strzał w dziesiątkę.

Jako jedni z pierwszych zaczęliśmy sprzedawać piwo w plastikowych butelkach. Tylko dwa browary w Polsce dziś to robią. Potem kupiliśmy linię do puszkowania piwa. Mały browar w Jabłonowie puszkował piwo dla wielkich browarów. Między innymi dla Browaru Warszawskiego.

O piwie moglibyśmy pewnie zapisać cały sierpniowy numer „mojej Lesznowoli”, bo pan Hubert o piwie wie bardzo dużo, ale uznaliśmy, że jak na pierwszą opowieść o „Naszym piwie” wystarczy. ■

CERAMICZNE LATO



Lato może być piękne, gorące, słoneczne, ale też deszczowe, chłodne, brzydkie. Może też być lato ceramiczne. Nie słyszeliście? Nie wiecie? Szkoda.

Ta niewiedza sporo kosztuje. Bo tracą na tym i dorośli i dzieci.

„Ceramiczne lato” to propozycja miłego, ciekawego spędzenia czasu. W Pracowni Ceramiki i Rzeźby we Władysławowie, dorośli i dzieci – ograniczeń wiekowych praktycznie nie ma – mogą pod fachowym okiem pani Joanny Jagodzińskiej wziąć do ręki glinę i robić cuda.

Zaglądamy do pracowni. Na stołach aż gęsto od dzieł, które wyszły spod ręki uczestników zajęć. Przy stole kilku młodocianych uczestników.

Są i mamy, ale proszą, by ich nie fotografować.

Pani mgr Jagodzińska wspomina, że pomysł otworzenia pracowni ceramicznej chodził za nią od dawna, bo robienie w glinie to jej hobby. Świetlica we Władysławowie jakoś nie tętniła życiem, więc spełnione były dwa warunki. Było miejsce i była pani instruktor. Okazało się, że są i chętni do robienia w glinie. Znalazły się też pieniądze, bo pani Joanna Jagodzińska, jako przewodnicząca Stowarzyszenia Na Rzecz Rozwoju Wsi Łązy 2 i Okolic wystąpiła



do Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży i otrzymała dotację na wyposażenie pracowni ceramicznej. Pani dyrektor GOK Jolanta Sobolewska udostępniła świetlicę i tak powstała „Galeria na górze” prowadząca zajęcia z ceramiki.

Dla tych, którzy ceramiką się interesują, mamy same dobre wiadomości. Można tu robić prace z ręki, można wylewać z gliny lejnej, można toczyć na kole. A co się zrobi, wyleje i wytoczy, można wypalić, bo pracownia dysponuje trzema piecami do wypalania

gliny. Gliny nie zabraknie.

Jak ktoś nie chce robić mis, talerzy, wazonów czy bardziej wyszukanych dzieł, może się zająć robieniem biżuterii.

Tak czy inaczej warto wejść do „Galerii na górze”. Jeśli nie po to, by samemu usiąść za stołem i formować cuda z gliny, to po to, by popatrzeć, co inni potrafili zrobić. ■



Za kilka dni skończą się wakacje. Nim szkołę w Mysiadle wypełni gwar uczniów, zaglądamy do zwracającego uwagę swoją nowoczesną architekturą budynku. Zielono-białe przestrzenie z elementami drewna pozwalają głęboko oddychać. Ogromna stołówka, zamknięta w okręgu świetlica, rząd stołów do ping ponga... wszystko to nie przypomina szkoły, jaką wielu z nas nosi w pamięci z dzieciństwa.

JESTEM STĄD

– Moja cała rodzina pochodzi stąd. I ze strony mojego taty i ze strony mamy. Z Nowej Woli i z Lesznowoli – mówi Monika Rutkowska, dyrektor Zespołu Szkół Publicznych w Mysiadle. Uczylałam się w Zbiorczej Szkole Gminnej w Lesznowoli. To się wtedy tak nazywało i była to największa szkoła w tej gminie. Chodziłam do niej od zerówki do ósmej klasy.

Po podstawówce w Lesznowoli było liceum medyczne w Warszawie. Chciałam pomagać ludziom. To był taki młodzieńczy imperatyw, który jednak uległ zmianie. Rozstałam się z medycyną – śmieje się pani dyrektor i skończyłam studium nauczycielskie na Czerniakowskiej. Potem Pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim – Edukację Wczesnoszkolną.

Były jeszcze studia podyplomowe: pedagogika korekcyjna, zarządzanie i na Collegium Civitas Studium Lide-

rów Oświaty. A już ostatnio na Politechnice zajęcia komputerowe, informatyka. Żeby pracować w szkole, trzeba się cały czas kształcić. To jest wyzwanie. Ja to lubię. Lubię robić coś od początku.

Po studiach zaczęłam pracę w mojej starej szkole w Lesznowoli. Pamiętam, że nauczyciele, którzy mnie kiedyś uczyli, teraz mówili do mnie Monisia. Potem była nowo wybudowana szkoła w Nowej Iwicznej i tam uczyłam 11 lat, a przez 6 byłam wicedyrektorem.

Dzieci w gminie było coraz więcej i urząd gminy zaczął myśleć o nowej placówce. Powstał pomysł na utworzenie nowej szkoły w Mysiadle. Przystąpiłam do konkursu i... wygrałam. Część nauczycieli przeszła ze mną i od 2007 roku zaczęliśmy tworzyć szkołę. Trzy lata temu przenieśliśmy się do budynku, w którym teraz jesteśmy.



INNA SZKOŁA

Ta szkoła się rozwija. Tak jak zmienia się jej wygląd, tak samo staramy się, żeby zmienił się sposób nauczania. Ma być nowoczesnie.

Szukając wzorców i pomysłów, trzy lata temu wyjechaliśmy do Wielkiej Brytanii, do Bolton pod Manchesterem. Wyjechaliśmy zobaczyć szkołę, która w nauce wykorzystuje nową technologię. Tam i uczniowie, i nauczyciele pracują na iPadach. Dzieci dostają iPady do domu, zadania są wysyłane przez Internet. – Tak wygląda współczesna, nowoczesna edukacja.

Rozmawialiśmy z uczniami, nauczycielami. Wszyscy byli dumni, że chodzą do takiej szkoły. Inna filozofia. Postanowiliśmy coś przenieść na nasze podwórko. Zaczernąć tę nową technologię. Zaczęliśmy pracę najpierw z uczniami pierwszej gimnazjum. To były dwugodzinne zajęcia z iPadami. Metoda WebQuest (w wolnym tłumaczeniu „Poszukiwania w sieci”).

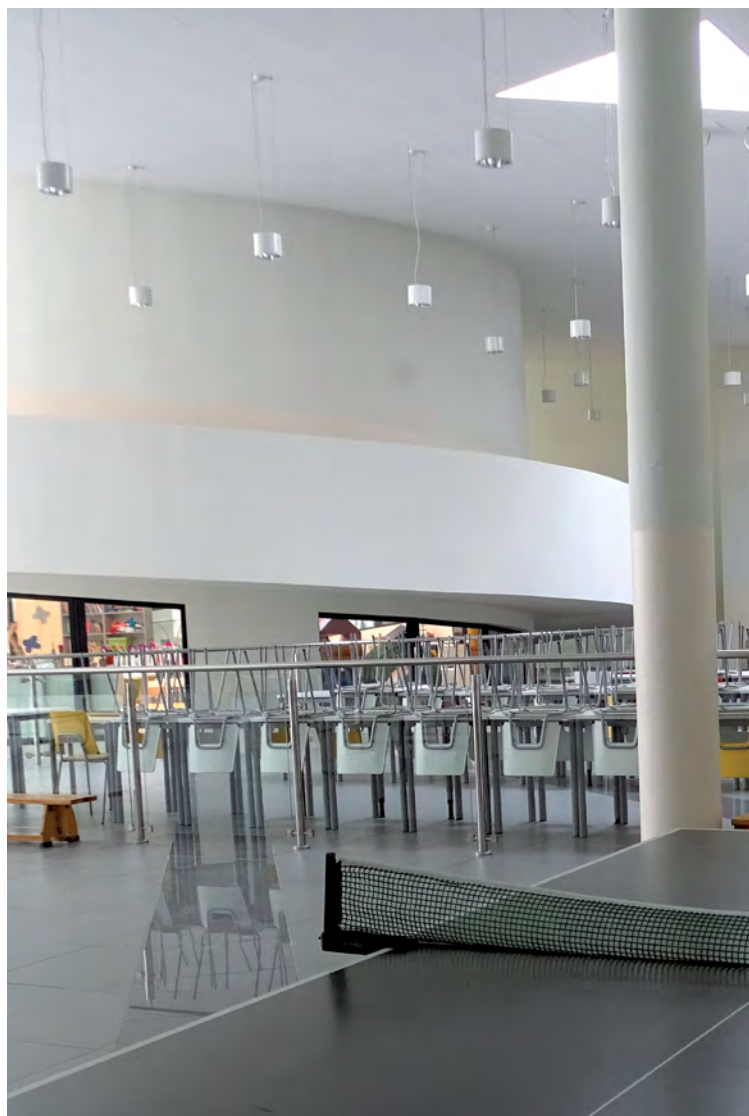
Zajęcia zostało przygotowane przez eksperta, pana Witolda Kołodziejczyka. To był cały cykl zajęć. Uczniowie dostali informację jak i gdzie szukać w internecie wiedzy, odpowiedzi...

Potem pojechaliśmy do szkoły w Gdańsku, żeby zobaczyć, jak ten system sprawdza się na polskim podwórku, bo tam też działa podobna placówka. Chcieliśmy czerpiąc z doświadczeń angielskich i krajowych, zrobić coś dla siebie. Powoli wdrazaliśmy program.

Najpierw była tylko klasa pierwsza gimnazjum. Potem pierwsza i druga, potem szósta klasa szkoły podstawowej. W tym roku zgłosiliśmy tę metodę do kuratorium. Nauczanie metodą WebQuest w klasie pierwszej gimnazjum będzie wyglądało w ten sposób, że dzieci będą miały na trzech przedmiotach 6 zajęć WebQuest'owych. Będzie planowany temat zajęć np. na 4 godziny. Część uczniowie będą robili w szkole, część w domu. Informację będą przysyłać między sobą. To nie będzie lekcja, która kończy i zaczyna się z dzwonkiem. Co roku mamy tzw. Powerday, czyli prezentację dla rodziców. Wtedy oni też zobaczą efekty pracy dzieci.

Wprowadzanie takich zajęć to nie tylko wyzwanie dla uczniów, może nawet bardziej dla nauczycieli. Oni musieli przejść cykl szkoleń z metodykiem. Muszą wiedzieć, gdzie uczniowie w Internecie mają, czego szukać. Zajęcia nie polegają na tym, że uczeń dostaje iPada, a potem krąży po internecie w poszukiwaniu czegokolwiek. On jest kierowany przez nauczyciela, a potem ma opracować temat. Grupowo, pojedynczo, jak chce. Ważne są efekt jego pracy.

To mogą być zdjęcia, komiksy, mogą być filmy. To są zajęcia projektowe. To jest już inny sposób myślenia, ale dla współczesnych uczniów bardziej intuicyjny. Kierunki się odwróciły. To nauczyciele dziś muszą nauczyć się używać współczesnego, technicznego języka. To oni muszą nadążyć za uczniem.





Zaletą takich zajęć jest jeszcze jedna. Każde są inne. Tu nie obowiązują schematy. To uczeń ma wymyślić, jak zinterpretować temat, jak go wykonać, podsumować, zaprezentować. Tu liczy się kreatywność. W tej szkole przecieramy ścieżkę, ale potem nasz sposób nauczania zostanie być może przeniesione do innych szkół w Lesznowoli.

Od 25 lat jestem nauczycielem i od samego początku w tej gminie. To, co tu widać, to bardzo duże nakłady na oświatę. Otwierane są nowe szkoły. Jest bardzo dobra opieka pedagogiczno-psychologiczna. W każdej szkole jest pedagog, psycholog, nauczyciel terapii pedagogicznej. To wszystko jest zapewnione. Poza tym zajęcia pozalekcyjne w ramach godzin gminnych, czyli niepłatnych. W naszej szkole jest ich ok. 60.

Realizujemy bardzo wiele projektów takich jak szkoła marzeń czy wielokulturowość. W naszej szkole jest finansowany przez urząd gminy projekt Estetyka Współczesności. To jest program z filozofii. Zajęcia są bezpłatne i biorą w nich udział uczniowie gimnazjum. Ich prace są potem wystawiane w Centrum Sztuki Współczesnej.

PRZYSZŁOŚĆ

Co teraz? Teraz chcę, żeby nauczyciele pojechali do szkoły w Norwegii. Tam znaleźliśmy dobrą szkołę pod kontem technologii innowacyjnej. Chcemy wymienić się doświadczeniami i być może czerpać ze wzorów skandynawskich.

Czym nasza szkoła różni się jeszcze od innych? Mamy ocenianie kształtujące. Czyli informacja dla każ-



dego ucznia, jaki cel wyznaczył sobie nauczyciel i czego uczeń powinien się nauczyć. Chcemy, żeby np. przed sprawdzianem uczniowie dostali jasną wskazówkę, z czego się przygotować. To nie ma być tak jak kiedyś. Będzie sprawdzian, trzeba nauczyć się wszystkiego, bo nikt nie podał konkretnego.

Poza tym w sierpniu zaczęliśmy z nauczycielami szkolenia wychowawcze, żeby więcej czasu przeznaczyć na wychowanie dzieci. Skoro jesteśmy sypialnią Warszawy i uczniowie są w szkole od 7.00 do 18.00, czyli bardzo długo, to musimy sobie poradzić z trudnościami wychowawczymi. Nie chodzi o bijatyki czy chuligaństwo, ale dzisiaj dzieci nie radzą sobie z emocjami. To jest wyzwanie dla szkoły. Trzeba poświęcić im czas i współpracować z rodzicami, choć muszę powiedzieć, że ta współpraca nie zawsze jest łatwa. Rodzic zawsze bierze wszystkie uwagi do siebie. Że to on jest źle oceniany a nie jego dziecko, że to jego błędy. To nie o to chodzi. Mamy tutaj dzieci z zespołem Aspergera. Wypracowaliśmy już pewne metody pracy z nimi. Każdy uczeń jest inny. Do każdego trzeba podejść indywidualnie. Jeżeli coś go denerwuje, to ma pójść i podrzeć kartkę papieru, bo my to preferujemy, pójść do pani pedagog. Musi wyrzucić to z siebie, tam gdzie może, ale nie przy klasie. Próbuje uczyć takich zachowań i mamy efekty. Mamy uczniów, którzy idą dalej do liceum na studia i sobie radzą.

To jest satysfakcja. To nauczyciele i uczniowie tworzą tę szkołę. Bez ich kreatywności i inicjatywy nic nie można by było zrobić. Bez ludzi nic się nie uda. ■



Jak w rodzinie



Naprawdę tytuł jest niepełny.

Powinno być, jak w dobrej rodzinie, bo przecież w rodzinie może być różnie.

Ta rodzina jest na ulicy Poprzecznej w Lesznawoli. To bardzo wielka rodzina. Przeważają w niej ludzie stosunkowo młodzi. Ludzie, którzy od paru zaledwie lat mieszkają na Poprzecznej, a sprowadzili się tu z różnych rejonów Polski. A nawet z Chin.

Kiedy są wielkie wydarzenia sportowe, z których transmisje nie sposób oglądać w samotności, rodzina wychodzi przed dom. Siadają na trawie, ławkach, krzesłach, przynoszą piwo, lemoniadę z pietruszki i cytryny, jakieś przekąski i na wielkim ekranie, który stanowi ścianą domu, oglądają mecz.

Czasem spotykają się na grillu. Każda z pań coś przygotuje, panowie staną przy grillu, pan Chińczyk przy wędzarni i zaczyna się zabawa. W okolicy roznosi się smaczkowy zapach karkóweczki, kiełbasek i tego, co przygotował pan Chińczyk z żoną. Na ścianie pojawia się ekran z tekstem piosenki i mamy karaoke. A, że jak śpiewał Jerzy Stuhr na festiwalu w Opolu w roku 1977 – „Śpiewać każdy może, trochę lepiej, lub trochę

moja Lesznowola

gorzej, ale nie oto chodzi, jak co komu wychodzi” – śpiewają wszyscy i jest zabawa.

Wielka rodzina jest dość dzieciata i wielkiej rodzinie brakowało placu zabaw dla dzieci. Plac zabaw, to nie jest jakaś tam sobie inwestycja. To sprawa poważna i trzeba do nie podejść jak najbardziej profesjonalnie. Sprzęt na palcu zabaw musi mieć atesty, musi być certyfikowany, bezpieczny dla dzieci. Nie jest tani. Sami nie poradzą.

Czas ujawnić, że „rodzina” to Wspólnota Zielone Ogrody Bis i Zielone Ogrody Lesznowola, a osiedle jest przy ulicy Poprzecznej. Te dwie wspólnoty mają wspólnego developera, który wyznaczył dla dzieci mieszkańców miejsce na plac zabaw. Wyznaczył i na tym się skończyło. Obiecywał gruszki na wierzbie, a dzieci nie miały, gdzie się bawić. Bo miejsce, to jedno a zagospodarowanie miejsca, wyposażenie w urządzenia, to drugie.

Rodzina jak zwykle w takich momentach zebrała się na naradę i uradziła, że nie można dłużej czekać i trzeba działać. Pan Mariusz poradził, żeby spróbować rozmowy z panią wójt Marią Jolantą Batycką-Wąsik. Pomysł przyjęto jednogłośnie, bo istniało przekonanie, że na pewno w takiej sytuacji pomoże, gdyż do gminnego Centrum Sportu należy między innymi opieka nad placami zabaw dla dzieci.

Rozmowa się odbyła, wniosek został przyjęty. Jak poinformowała pani Agnieszka Dropia, Wspólnota przedstawiła projekt, wstępny kosztorys i zapytała, czy może liczyć na współfinansowanie z budżetu gminy. Pani wójt powiedziała, że może.

Dla blisko 90 rodzin była to wspaniała wiadomość. Jeszcze lepsza dla blisko półtorej setki dzieciaków. Zaczęła się budowa.

Nadszedł 22 lipca. Zastawiony stół. Biały obrus. Na stole przygotowane przez panie sałatki, mięsowa, wypieki, owoce, napoje. Panowie przy grillu, pan Chińczyk z żoną przy wędzarni. Wspaniały zapach, wspaniała, bo radosna atmosfera. Dzieciaki pozdejmowały buty i czekają na sygnał do zabawy.

Przedstawiciele Wspólnoty czekają na panią wójt. Punktualnie o 17:00 przyjeżdża w towarzystwie dyrektora Gminnego Centrum Sportu i wielką torbą cukierków.



Dzieciaki są szczęśliwe, rodzice zadowoleni i już myślą o kolejnej inicjatywie. Wspólnej z gminą. Bo ta wspólnotowa rodzina wie, że razem można wiele.





Są kwiaty, miłe słowa, podziękowania i przecięcie wstążki trzymanej przez dzieci. Mamy są wzruszone. Pani wójt też.

Potem jest już tylko śmiech i zabawa. Dzieciaki są szczęśliwe, rodzice zadowoleni i już myślą o kolejnej inicjatywie. Wspólnej z gminą. Bo ta wspólnotowa rodzina wie, że razem można wiele. ■



Wspólnota przedstawiła projekt, wstępny kosztorys i zapytała, czy może liczyć na współfinansowanie z budżetu gminy. Pani wójt powiedziała, że może.

Kochane zimnokrwiste



Kiedy trafiły do Lesznowoli, nie powiemy, ale do „Stajni u Liwińskich” trafiły osiem lat temu. W roku 2008 rozpoczęła się na ul. Słonecznej hodowla koni zimnokrwistych. W gospodarstwie, którego właściciele żyją tu od pokoleń. W tych koniach zakochani są i Marcin Liwiński i jego córka Paulina, studentka zootechniki. Na pytanie – dlaczego konie, odpowiedź jest prosta. Bo w gospodarstwie zawsze były. Są więc i dziś, tyle tylko, że już nie jako konie gospodarskie ciągnące ciężkie platformy, lecz cenne maskotki, którymi można się pochwalić, z którymi można startować w zawodach, jeździć na wystawy i przywozić zwycięskie trofea.

Pierwszego konia, szlachetną klacz rasy małopolskiej babcia Liwińska kupiła wnuczce, Paulinie. Było to jedenaście lat temu. To zapoczątkowało w gospodarstwie Liwińskich hodowlę koni szlachetnych. Nie był to jednak kierunek trafiony. Popyt na konie szlachetne małał. Pan

Marcin postanowił więc spróbować szczęścia w hodowli koni zimnokrwistych. Pierwsza zimnokrwista klacz, pierwsze źrebienie i pech. Bliźnięta.

Podobno w takich przypadkach udaje się raz na tysiąc porodów utrzymać źrebaki przy życiu. To nie był ten przypadek. Nie udało się, ale to nie zniechęciło do kolejnej próby.

ZŁOTY STRZAŁ

Pojechał pan Marcin na targ do Sochaczewa, zobaczył stojącą na przyczepie klacz i choć nie jechał na targ z zamiarem kupna, klacz trafiła do stajni Liwińskich.

– To był złoty strzał – dopowiada Paulina. – Ta klacz jest w hodowli do dziś. I do dziś odnosi sukcesy.

Dwa lata temu Azalia była z nami na wystawie w Poświętnem i dostała tytuł czempiona w stawce klaczy zimnokrwistych.



*Jeśli ktoś mówi, masz końskie zdrowie,
to nic nie wie o koniach. Koń, choć potężny, silny,
masywny to zwierzę bardzo delikatne.*

Żrebaki wdały się w mamę i też zbierały punkty i nagrody. Do pierwszego, a było to w 2012 roku, przyjechała pani inspektor z Wojewódzkiego Związku Hodowców Koni. Obejrzała żrebaka i poradziła, byśmy pojechali do Puznówki pod Garwolinem na premiowanie żrebiąt.

Premie mówią o jakości konia pod względem eksterieru i jakości ruchu. Reguły nadawania premii są ściśle ustalone przez Polski Związek Hodowców Koni.

Eksterier, czyli pokrój, to zewnętrzna budowa ciała konia, zgodna z wzorcami rasy zimnokrwistej. Pokrój zaś, jest to zespół zewnętrznych cech budowy ciała zwierzęcia, określających stan rozwoju kośćca i umięśnienia oraz proporcje pomiędzy nimi, czyli harmonijność budowy ciała.

W przypadku żrebiąt punktowane są m.in. typ rasowy, budowa i rozwój, ruch i zdrowie.

– Pojechaliśmy więc do Puznówki i nasz żrebak był najlepszy ze swojego rocznika. Zdobył pierwsze miejsce. Bardzo się to nam spodobało – mówi pan Marcin.

Spodobało tak bardzo, że od 2008 roku hodowla koni zimnokrwistych w „Stajni u Liwińskich” zaczęła się powiększać. Teraz są tu konie o wysokiej jakości hodowlanej przeznaczone do hodowli. Ogiery zarodowe i klacze hodowlane.

– Kolebką konia zimnokrwistego w Polsce – mówi Paulina – są Mazury, Pomorze i Podlasie. I stamtąd, a głównie od hodowców z Pomorza, ściągaliśmy najlepszy materiał hodowlany. Cały czas jesteśmy z nimi w kontakcie, wymieniamy się doświadczeniami, spotykamy na wystawach.

Należymy do elitarnej rodziny hodowców koni zimnokrwistych. Zaczynaliśmy od jednej sztuki, a dziś mamy razem ze żrebakami siedemnaście koni.

W ubiegłym roku byliśmy na trzech wystawach. Jedną była w Poświętnem (Mazowiecka Wystawa Klaczy Hodowlanych). Tam byliśmy z dwoma naszymi klaczami i przywieźliśmy drugie i trzecie miejsce. Druga wystawa była w woj. lubelskim w Tucznjej. Przyjechaliśmy z nagrodą publiczności. Nasz koń został okrzyknięty najpiękniejszym koniem pokazów. Trzecia w Janowie k. Nidzicy. Były tam najlepsze konie z całej Polski, a nasza klacz zajęła 5. miejsce.

SZCZĘŚLIWA BIDA

Czasem los sprawia, że szczęście się samo do człowieka uśmiecha. Tak było i w tym wypadku. Do stajni Liwińskich przez przypadek trafiła szlachetna klacz. Mieszanka gorącokrwistego konia holenderskiego



foto. z archiwum p. Liwińskich

Należymy do elitarnej rodziny hodowców koni zimnokrwistych. Zaczynaliśmy od jednej sztuki, a dziś mamy razem ze żrebakami siedemnaście koni.



z zimnokrwistym fryzem. Koń rasy KWPN, jest nowoczesnym koniem średniego kalibru, wspaniale skocznym. Fryz też jest koniem średniego kalibru, ale ma bujną grzywę, stęp – sprężysty i silny, klus – zamaszysty, z silnym odbiciem zadu i rytmiczny galop.

Wracamy jednak do przypadku. – Przyjechali do mnie handlarze po klacz – wspomina Marcin Liwiński. Rozmawiamy, dobijamy targu. Wszystko uzgodnione, otwierają przyczepę, by zabrać klacz, a na przyczepie stoi biedactwo. Roczna bida. Pytam, co tam macie na przyczepie? – A, to wieziemy na mięso. Żal mi się zrobiło. Wezmę ją, mówię. Zgodzili się. Zapłaciłem, handlarze odjechali, biedactwo zostało. Teraz ma sześć lat i jest piękną, wspaniałą klaczą. Oswoiła się, niczego się nie boi i od tego roku startuje w zawodach krajowych. A zawody krajowe to już pierwsza liga.

Pierwszy raz startowaliśmy na zawodach w Bogusławicach. Na jedenaście koni, zajęliśmy piąte miejsce. To był bardzo udany debiut naszej klaczy. Żadna przeszkoda na trasie przejazdu nie była dla niej straszna. Woda nie woda, szła jak burza.

TRUDNE CHWILE

Na pytanie, co jest w hodowli najtrudniejsze, pan Marcin odpowiada – zażrebień, a Paulina – porody. Porody, bo nigdy nie wiadomo, co się stanie. To jest jedna wielka niewiadoma. Zaczyna się poród i nie wiadomo, czy wszystko przebiegnie dobrze, czy będą komplikacje.

U klaczy zimnokrwistych ciąża trwa od dziesięciu i pół do jedenastu miesięcy. Gdy zbliża się czas żrebień, już nie śpimy. Wprawdzie po tylu porodach wiemy już, co robić, ale zawsze jest napięcie.

Na przykład byłem na zawodach w Bogusławicach – mówi pan Marcin. Miałem po zawodach zostać i wracać na drugi dzień, ale zdecydowałem, że wracam do domu. Wróciłem, skosiłem trawę, przyjechała Paulina i około dwudziestej wchodzimy do stajni, a klacz leży. Zaczęło się żrebień.

Prawidłowo powinny wyjść najpierw obie przednie nogi i głowa, a tu widać tylko jedną nogę. Druga się jakoś podwinęła. Ni e było na co czekać, trzeba było dzia-

łać. Wepchnąłem nogę z powrotem, namacałem drugą, odwinąłem i zacząłem małego wyciągać. Udało się. Przyszła na świat piękny, duży i zdrowy. Jest w naszej stajni.

Jeśli ktoś mówi, masz końskie zdrowie, to nic nie wie o koniach. Koń, choć tak jak nasze potężny, silny, masywny to zwierzę bardzo delikatne.

JEST POMYSŁ

Spróbujmy w kilku zdaniach podsumować wizytę w „Stajni u Liwińskich”. Zobaczyliśmy piękne konie, poznaliśmy sympatycznych ludzi, którzy nie tylko konie hodują, ale też wystawiają na wystawach i zwyciężają, czego świadectwem są ustawione na półkach puchary. Mają konie liczące się w polskiej hodowli.

Paulina i tata mają brązowe odznaki w powożeniu, pan Marcin na zawodach pełni rolę „luzaka”. W tym roku został wybrany na prezesa Terenowego Koła Hodowców Koni Zimnokrwistych w Warszawie, a to znaczy, że hodowla z Lesznowoli liczy się w elitarnym świecie hodowców koni.

Ostatnio chodzi im po głowie zorganizowanie w Lesznowoli wystawy/zawodów, na których będzie można podziwiać konie i umiejętności powożących.

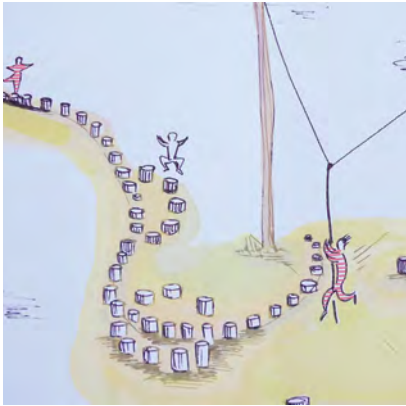
Jesteśmy za i trzymamy kciuki za realizację pomysłu. ■



Cały park jest starannie podzielony na strefy, odpowiadające wiekowi osób, które park odwiedzą i zechcą skorzystać z jego atrakcji. Większość elementów do zabawy przeznaczona jest dla dzieci, ale znajdują się tu także elementy dla dzieci starszych, nastolatków i dorosłych. Gdzie jest taki park? W naszej gminie. W Mrokwie.



rysunki z projektu Uni Park



...JEST POMYSŁ

Tak to prawda. Najważniejszy jest pomysł, ale żeby go zrealizować, potrzebne są pieniądze, bo bez nich można pomysł schować do szuflady, choćby był najlepszy. Pomysł jest pani Krystyny, pieniądze męża. Żadna ze stron nie narzeka.

Od chwili narodzenia pomysłu do naszej rozmowy upłynęło zaledwie pięć miesięcy, bo pomysł przyszedł do głowy pani Krystynie pod koniec lutego tego roku, a w ostatnim tygodniu lipca park był gotowy.

Jak rodzą się pomysły? Recepty jednej pewnie nie ma, ale ten pomysł urodził się z patrzenia. Z patrzenia na las, z sąsiedztwa, którego pani Krystyna cieszy się od chwili zamieszkania w Mrokowie i który od kilku lat stał się własnością jej i jej męża. Ale gdybyśmy przyjęli tylko taki motyw, byłoby to tylko pół prawdy. Cała jest znacznie poważniejsza.

– Prawda jest taka, że postanowiłam coś w swoim życiu zmienić – mówi pani Krystyna Poręcka. Dotąd spędzałam czas prowadząc dom i wychowując dzieci, podczas gdy mąż zajmował się własną działalnością gospodarczą, żeby utrzymać rodzinę. Teraz, kiedy najmłodsze córki, bliźniaczki właśnie zdały maturę, a dwójce starszych kończy studia, nadeszła odpowiednia chwila na zmiany.

DZIAŁKA

– Działka, na której osiem lat temu postawiliśmy dom, była własnością babci mojego męża. Kiedy nasze dzieci miały po kilka lat, mieszkaliśmy bliżej Warszawy, a do Mrokowa przyjeżdżaliśmy, żeby korzystając z dobrodziejstwa działki, nauczyć je jazdy na rowerze. Od początku bardzo mi się tu podobało, ale trochę czasu upłynęło, zanim przekonałam męża do zamieszkania tu na stałe. Udało się po latach i jestem bardzo szczęśliwa, że możemy mieszkać w tej okolicy, tak blisko natury. Dosłownie, bo stada przemieszczających się za ogrodzeniem saren, przebiegający drogę zając czy spacerujący po trawniku jeź albo wiewiórki na drzewie za oknem to dość częsty obrazek.

W końcu lutego tego roku przyszedł mi do głowy pomysł zbudowania parku linowego w naszym małym lasku, przylegającym do działki, na której stoi nasz dom.

Za pośrednictwem internetu znalazłam czeską firmę Uni Park, która specjalizuje się w budowaniu linowych parków rozrywki na terenie całej Europy. I to był dobry początek, bo okazało się, że jest to świetna, profesjonalna ekipa a poza tym niezmiernie sympatyczni ludzie, z którymi współpraca układa się wspaniale. Obecnie realizują pro-

jekty we Francji, Izraelu i w naszym Mrokowie.

Przyznam, że na początku chciałam zrobić park linowy ekstremalny, tzn. żeby było bardzo wysoko i niebezpiecznie, a więc głównie dla zwolenników adrenaliny. Niestety zbyt mała średnica wyrosłych w naszym lesie sosen uniemożliwiła realizację moich pierwotnych pomysłów. Natomiast była wystarczająca do zbudowania parku linowego na dużo mniejszej wysokości, max. do 3 metrów nad ziemią. Tak są właśnie teraz zawieszane domki i różnego rodzaju przejścia. Zabezpieczeniem przed upadkiem są siatki.

Po zatwierdzeniu projektu, zespół pracowników przybyły z gotowymi elementami do złożenia, zabrał się do pracy i park powstał w przeciągu 20 dni. Kiedy wczoraj rano odwiedziłam budowę, powstawała podłoga pod kiosk, który jest jednym z elementów całości budowy, a wieczorem układało już dach.

W pierwszych dniach nie było widać szybko efektów, to zrozumiałe. Pod koniec budowy wszystko rosło jak na drożdżach. Jeszcze tylko: woda i kanalizacja. Prąd już jest. W połowie sierpnia będzie wszystko, co przewidziano w pierwszym etapie. Za kilka dni park będzie skończony. Kiedy budowa po zatwierdzeniu przez specjalistów otrzyma certyfi-



kat bezpieczeństwa, najważniejszy etap będzie za nami. Pierwszy etap, ponieważ w przyszłym roku planuję rozszerzenie oferty dla przyszłych klientów o kolejne elementy parku, a mianowicie przybędzie piaskownica dla małych dzieci, piaskownica budowlana dla dzieci starszych, przybędą platformy, na których staną pod parasolami meble ogrodowe.

Mam nadzieję, że będzie to miejsce, które okaże się bardzo potrzebne szczególnie dla rodzin z małymi dziećmi. Tu z całą pewnością dzieciaki będą się mogły pobawić i solidnie zmęczyć, jeśli tylko będą miały na to ochotę.

O torach przeszkód wiem już wszystko. Sama wypróbowałam różne przejścia i pokonałam przeszkody. Świetna zabawa. Naprawdę świetna dla wszystkich, którzy lubią ruch.

LEŚNY PARK REKREACJI

Za kioskiem zaczyna się raj dla dzieci – park linowy z siatkami. Dzieci powyżej czwartego roku życia czekają przygody na wysokości

2,5 metra na ziemię, siedem domków przesiadkowych, zamocowanych na najmocniejszych drzewach w parku, siedem przeszkód linowych, trzy różne wejścia i długa, nierdzewna ślizgawka.

Obok parku linowego z siatkami są niskie przeszkody linowe, przeznaczone dla dzieci powyżej ośmiu lat, na których z uwagi na wysoki stopień trudności, swoich sił i zręczności mogą próbować również nastolatki i dorośli.

Dalej, w głębi parku będzie miejsce przeznaczone dla najmłodszych. Na drzewach zaprojektowano leśny plac zabaw z platformą, drabinkami Mikado, siatką, pniakami balansowymi i ślizgawką. Wśród drzew wiosną przyszłego roku powstaną dwie duże piaskownice. Pierwsza z dwoma domkami do zabaw dla maluchów i druga dla dzieci większych z przemyślaną konstrukcją do twórczości z piasku.

Dla tych, którzy lubią się wspinać, będzie na polanie „boudler”, składający się z wysokich pni akacji

z wycięciami na ręce i nogi, gdzie można spróbować swoich sił. Ostatnim elementem zabawy jest planowany na przyszły rok wśród drzew labirynt – zabawa dla wszystkich.

SPÓŁKA

Kiedy poinformowałam swojego męża i dorosłe dzieci o moim pomysle zbudowania parku rozrywki, od początku wszyscy stwierdzili, że to świetny pomysł. Do jego realizacji potrzebowałam jednak odpowiednich funduszy i zgodziliśmy się wszyscy, że warto włożyć własny wkład finansowy w nowe przedsięwzięcie.

Pierwszy etap inwestycji na ukończeniu. Doskonała spółka rodzinna. Leśny Park Rekreacji. ■



*Mam nadzieję,
że będzie to miejsce,
które okaże się
bardzo potrzebne
szczególnie dla
rodzin z małymi
dziećmi.*





lato

pełne ziół

Bazylija, cząber, melisa, mięta, koper, rozmaryn, szalwia, lubczyk, tymianek...

– o świcie, w słoneczne, letnie dni zioła najpełniej rozciągają swoją woń.

Zioła przywędrowały do kuchni przed wiekami. Dziś nie ma chyba rejonu świata, który nie sięgałby w swoich regionalnych daniach po charakterystyczne dla nich dodatki. To one dodają wyjątkowego smaku i świeżości każdej potrawie. Dzięki nim powstają niepowtarzalne smaki, charakterystyczne dla poszczególnych krajów. Trudno wymienić wszystkie zioła. Każdy naród pokochał inne. Oregano zawsze kojarzyć się będzie z włoską pizzą, a rozmaryn z grecką jagnięciną. Na armeńskim stole, powiązane w pęczki leżą niezliczone rośliny. Stanowią naturalny dodatek do przygotowanych potraw. Tutaj stanowią one prawdziwe królestwo. Ormianie korzystają z blisko trzystu ich gatunków.



tymianek

Doskonale pasuje do ryb, jagnięciny, wieprzowiny. Bywa dodawany do zup i sałatek. Jest składnikiem dipów i sosów. Pochodzi z okolic Morza Śródziemnego, ale dziś uprawiany jest w wielu rejonach świata. Jest jednym z bardziej lubianych ziół wykorzystywanych w kuchni. Obok wartości kulinarnych, w niewielkich liściach ukrywają się działania lecznicze. Jest bogaty w witaminę K, A, C i E oraz olejki eteryczne. Tymianek łagodzi kaszel i stymuluje układ odpornościowy.

oregano

Oregano dodaje się do sosów pomidorowych, pizzy, sałatek i mięs. We Włoszech stosowane jest od wieków i używane do pieczonych, smażonych lub grillowanych warzyw, mięs i ryb. Ale oregano doskonale pasuje również do dziczyzny i owoców morza. Ma też właściwości zdrowotne. Stosowane jest w dolegliwościach układu oddechowego i jako lek na żołądek. Łagodzi rany i podrażnienia skóry. Wyjątkową rangę wyciągowi z tej rośliny przypisywał Hipokrates, uważając go za niemal panaceum na wszystkie choroby.

bazylia

Bez wątplenia należy do czołówki ziół, po które najczęściej sięgają Polacy. Jej związek z pomidorem i mozzarellą jest znany każdemu miłośnikowi prostego jedzenia. Uważa się, że bazylia działa antydepresyjnie i poprawia nastrój, ale również poprawia trawienie i przyswajanie pokarmu. Stanowi niezastąpiony składnik włoskich potraw. Świetnie komponuje się z makaronem i stanowi podstawę pachnącego pesto.

rozmaryn

Charakteryzuje się bardzo ostrym i wyrazistym, cytrynowo-sosnowym smakiem, dlatego należy go używać rozważnie. W kuchni jest przyjacielem mięs, wędlin i sosów. Ukończyły go potrawy hiszpańskie, bałkańskie i meksykańskie. Świetnie pasuje do pieczonej jagnięciny. Rozgnieciony z czosnkiem i oliwą z oliwek staje się aromatyczną marynatą. Rozmaryn ma też swoje miejsce w medycynie. Wymienia się jego działania odkażające i wzmacniające pamięć. Napar z tego zioła używany jest jako środek żółciopędny.

mięta

Jej smaku nie trzeba nikomu tłumaczyć. W końcu nic tak nie odświeża jak mięta. Mięta w kuchni jest składnikiem nie tylko deserów, napojów, ale także sałatek. Może więc być stosowana w daniach słodkich i wytrawnych. Jest wspaniałym dodatkiem do jagnięciny, jogurtowego dressingu i... lodów. Doskonale sprawdza się w koktajlach i letnich lemoniadach. Napar z mięty łagodzi również bóle brzucha i wspomaga trawienie.





Zioła są naturalnym darem przyrody. Niektóre rosną dziko, inne nauczyliśmy się już uprawiać.

Obok właściwości kulinarnych, kryją w sobie tajemnice zdrowotne. Z dobroczynnych ich właściwości czerpano garściami od wieków.

Lato to pora ziół. Warto je uprawiać jeść i zachować w pamięci na zimową porę.

ZIOŁA NA 3 SPOSOBY

MASŁO ZIOŁOWE

SKŁADNIKI

kostka masła, 1 łyżka świeżej bazylii, 1 łyżka świeżego tymianku, 1 łyżka świeżego oregano, 1 łyżka szczypiorku, 1 łyżka lubczyku, 1/2 łyżki soli

Zioła siekamy na bardzo drobno i miksujemy z masłem i solą. Formujemy dowolny kształt.

Można też wykorzystać w przepisie tylko swoje ulubione rośliny.





SÓL ZIOŁOWA

To mieszanka soli z aromatycznymi ziołami. Tak jak w przypadku ziołowego masła, warto polegać na własnym smaku. Do soli ziołowej używamy najczęściej oregano, bazylii, lubczyku, cząbrku, tymianku, rozmarynu i koperku. Najprostszym sposobem jest zmielenie soli grubo ziarnistej z mieszanką ususzonych ziół w proporcjach 1:1.

Taka sól jest znakomitym dodatkiem aromatycznym do potraw na zimno i na gorąco. Wyjątkowo smakuje zwłaszcza zimą.



OLIWA ZIOŁOWA

Do przygotowania takiej oliwy potrzebujemy czystej, ciemnej butelki i oliwy z pierwszego tłoczenia. Teraz wystarczy do środka butelki włożyć umyte i dobrze osuszone gałązki tymianku, rozmarynu, bazylii albo tych ziół, które najbardziej lubimy. Gałązki trzeba dokładnie zalać oliwą, zamknąć butelkę i odczekać, najlepiej ok. 2 tygodni.

Taka oliwa to doskonały dodatek do mięs, sałatek lub marynat. Na podobnej zasadzie można przygotować oliwę z papryczek chili, czosnkową albo z trzech składników: suszonych pomidorów, bazylii i czosnku. Ta ostatnia oliwa będzie idealnie pasowała do dań kuchni śródziemnomorskiej i pizzy.

Oda na cześć Magdalenki

O jakże pięknie w mej cichej Magdalence.

Z dala od hałasu –

Dzwonek nie budzi, człek marzy, śni

I tylko westchnie czasem.

Cisza... serce z radości łka

Cisza... miłością śpiewa.

O ciszo, ciszo ty koisz nerwy

I dajesz mi natchnienie,

I tak w bezruchu trwałbym bez przerwy –

Nieziemskie upojenie.

Tu człek słodko sobie zasypia

Budzi się o poranku, pełnym treli ptasząt śpiewu.

Niekiedy myślami mknę w przestworze,

A wiatr mnie lekko niesie

Pode mną morze, morze

A ja znów znajduję się w Magdalenki lesie!

Tadeusz Wrzeciono (Magdalenka)

Ten wiersz zamieszczamy w drodze wyjątku, ponieważ jest to pierwszy list przesłany pocztą do redakcji.

Dziękujemy. Pozdrawiamy.